

Sądy nie boją się ze str. 20

represjonowani, przenoszeni na gorsze stanowiska pracy, tracili zarobki, co oczywiście miało niszczący wpływ na życie ich rodzin. Moja sprawa to drobniak w stosunku do nieszczęść, jakie Wałęsa spowodował na nich. Mam nadzieję, że ten wyrok otwiera skrzywdzonym przez Lecha Wałęsę drogę do zmuszenia go, aby przeprosił za swoje czyny. Opinia publiczna powinna się tego domagać. To, że osiągnął wybitną pozycję, nie oznacza, że nie obowiązują go powszechnie uznane normy moralne. To nie ma nic wspólnego z dyskusją, czy sława Wałęsy - wynikająca z jego późniejszych zasług - jest uzasadniona czy nie. Judasz, jeżeli chce odzyskać szacunek, najpierw musi za swą podłość publicznie przeprosić.

Czy jeśli się przyzna, będzie oznaczało koniec jego legendy?

- Myślę, że to nie musi być sprzeczne. Przychodzi mi do głowy literacka postać Andrzeja Kmicica z „Potopu”, choć i w rzeczywistości nie brakowało postaci, które błędziły, ale potem uczciwie się do tego przyznały, przeprosiły i szczerze żałowały za podłe czyny. Opinia publiczna docenia i rozumie takie postawy. Nie wydaje mi się, żeby postawa pokory i skruchy, którą Wałęsa powinien okazać, miały wpłynąć negatywnie na jego mit przywódcy społecznego.

Napisał Pan w swoim blogu, że ten wyrok może przybrać postać kuli śniegowej, ponieważ uczynił wyrwę w układzie, którego Wałęsa jest symbolem. O jaki układ Panu konkretnie chodziło?

- Dochodzimy do pytania, czy Wałęsa jest samodzielny w swojej odmowie przyznania się do agenturalnej przeszłości. Znam go dość dobrze i myślę, że jeśli zależałoby to tylko od niego, zrobiłby to. Przyznawał się zresztą już kilka razy, ale zawsze później twierdził, że to nieprawda. Jego nieszczęściem jest to, że funkcjonuje jako zwornik całego układu esbecko-agenturalnego. To środowisko zmusza go, żeby się nie przyznawał i nadal zaprzeczał prawdzie. Pełne ujawnienie jego agenturalności, a także późniejszych uwikłań, otworzyłoby drogę do stawiania pytań o przeszłość i rolę takich ludzi, jak np. Tadeusz Mazowiecki, rzekomy pierwszy niekomunistyczny premier, a w rzeczywistości sługa do dzisiaj reprezentujący interesy układu postkomunistycznego i całej gromady ludzi, którzy nie myśleli o budowie prawdziwej demokracji, ale o zreformowaniu systemu.

Tacy jak Mazowiecki przymuszają Wałęsę, żeby nie stanął po stronie prawdy, żeby nie ujawnił kulis niszczenia akt SB i WSW, szczegółów spisku przy Okrągłym Stole, zamachu na rząd Jana Olszewskiego, żeby swoim przyznaniem się nie pozostawił ich samych wobec oburzonej opinii publicznej. Można współczuć ludziom, którzy w przeszłości w różny sposób podejmowali współpracę z reżimem, można im też wiele wybaczyć i wiele rozumieć, ale nie ma sensu twierdzić, że tak nie było. Przeszłość ludzi, którzy tworzyli III RP, nadal nią kierują i odgrywają bardzo ważną rolę, musi zostać ujawniona. Dopiero potem możemy się zastanawiać, czy ich związki z komunizmem były naganne, i - symbolicznie rzecz ujmując - eliminując ich z podręczników historii, czy też nie. Ale nie należy zabraniać prowadzenia badań na ten temat. A temu właśnie miał służyć wyrok skazujący mnie w tym procesie. Gdyby do tego doszło, to już nikt nie mógłby badać najnowszej historii Polski, dyskutować na temat korzeni III RP oraz związków współczesnej elity politycznej z tajnymi służbami PRL.

Twierdził Pan, że Lech Wałęsa spodziewał się niekorzystnego wyroku. Uzasadniał to Pan tym, że nie pojawił się na większości obchodów 30-lecia „Solidarności”.

- Mój optymizm czerpałem z jego

zachowania. Widziałem wyraźnie, że się boi, był roztrzęsiony i wpadał w histerię. Opowiadał, że nie przychodzi, bo jest zmęczony, podczas gdy na co dzień dużo podróżuje i prowadzi światowe życie. On po prostu się bał, że kiedy pojawi się gdzieś publicznie, rozlegnie się skandowanie: „Bolek, Bolek,„.

Naprawdę uważa Pan, że Platforma zrezygnuje z dalszego podtrzymywania mitu Wałęsy? Wspólne złożenie kwiatów pod pomnikiem Poległych Stoczniovców to ostatni gest pod adresem byłego prezydenta?

- Swoją wiedzę czerpię z poufnej informacji, jaką otrzymałem z kręgów kierowniczych PO. Nie sądzę jednak, żeby politycy Platformy głośno i wyraźnie natychmiast odcięli się od Wałęsy, bo to mogłoby im zaszkodzić. Współpracować z Wałęsą to męka, bo jest człowiekiem chimerycznym i nieobliczalnym. Ale mimo to opłacało im się to robić, bo jego mit ich chronił. Natomiast teraz, szczególnie po tym wyroku, stał się obciążeniem dla PO, która więcej traci na związkach z nim, niż zyskuje. Ale nie należy zapominać o innych byłych agentach, którzy kierowali „Solidarnością”, często pełnili w niej wysokie funkcje. Oni za wszelką cenę będą bronili mitu Wałęsy, a przez to również samych siebie.

W przeddzień ogłoszenia wyroku napisał Pan: „Jutro o tej porze będziemy wiedzieli więcej nie tylko o sytuacji w polskim sądownictwie, ale również o tym, co się obecnie dzieje z Polską, w jakim jesteśmy miejscu demokratyzacji III RP i jakie możemy mieć nadzieje na najbliższą przyszłość”. Potrafi Pan już na te pytania odpowiedzieć?

- Z pewnością jest to dobry znak. Wyrok skazujący oznaczałby, że wracamy do PRL. Zakaz mówienia prawdy, prowadzenia badań historycznych i ograniczenie wolności słowa przyniosłyby niewyobrażalne konsekwencje. Mam nadzieję, że wyrok w mojej sprawie nie jest wyjątkiem i ta linia orzecznictwa się utrzyma. Myślę, że mamy do czynienia z okrzepnięciem polskiego wymiaru sprawiedliwości, który już nie boi się polityków, a na pewno nie chce być organem administracji państwowej. Sędziowie nie chcą być funkcjonariuszami Donalda Tuska, który grzmi, zakazuje, chce przy ich pomocy zatajać prawdę. Nareszcie sądy korzystają z własnej niezawisłości i przestały się bać. Dostrzegam jeszcze inny sygnał pozytywnych zmian. Otrzymałem wezwanie z Prokuratury Okręgowej w Gdańsku chcącej mnie przesłuchać w sprawie dokumentacji, którą Wałęsa zabrał z UOP i nigdy nie zwrócił. Poprzednio to śledztwo zostało umorzone. Wydaje się więc, że również w tej sprawie prokuratura zaczyna odzyskiwać swobodę i poprowadzi śledztwo, na które wcześniej nie było zgody rządzących.

Miejmy nadzieję, że w Polsce, mimo dominacji postkomunistycznych mediów, niektóre instytucje odważą się na wierność Konstytucji.

Pełnomocnik Wałęsy zapowiedział odwołanie. Spodziewa się Pan, że wyrok zostanie podtrzymany?

- Sąd apelacyjny już dwukrotnie obronił mnie przed błędnymi orzeczeniami sądu okręgowego, więc myślę, że i tym razem nie dojdzie do nadużycia prawa. Tym bardziej że mam poczucie, iż Lech Wałęsa i jego pełnomocnik nie dali sobie żadnych szans na apelację, ponieważ bojkotowali właściwie ten proces, nie uczestniczyli w nim i odmawiali zgody na postępowanie dowodowe. Uważali, że wyrok powinien być powtórzeniem wyroku Sądu Lustracyjnego. Taką linię obrony już wcześniej zakwestionował sąd apelacyjny. Dlatego nie wydaje mi się, żeby Wałęsa miał jakąś szansę. Ale pewnie będzie się odwoływał, choćby po to, by zachować pozory.

Wróćmy jeszcze na moment do jubileuszowego zjazdu „Solidarności”, na którym wygwizdano premiera. Jak Pan skomentuje głosy, że obecna „Solidarność” nie ma nic wspólnego z tą sprzed 30 lat?

- Kiedy się patrzy na Bogdana Borsewicza, to też powstaje pytanie, czy ma on coś wspólnego z sobą samym sprzed 30 lat. To szmat czasu i zmieniają się nie tylko pojedynczy ludzie, ale również instytucje. Jak można porównywać ruch antykomunistyczny z 1981 r., kiedy przystąpili do niego wszyscy pracownicy, bo nie było żadnych innych struktur obrony własnych interesów, z ruchem związkowym działającym w gospodarce kapitalistycznej?! Próba oskarżenia współczesnej „Solidarności”, że się zmienia, jest absurdem i podłością!

A rozumie Pan zachowanie związkowców?

- Doskonale ich rozumiem. Przychodzi Donald Tusk, który w tamtych czasach był chłopcem, i ubliża ludziom, oskarżając ich, że są rzecznikami nienawiści. I mówi to człowiek, który sam od lat tę nienawiść uporczywie sieje! Tusk prowokuje, oskarżając innych o to, że nie są wierni przesłaniu Jana Pawła II itd. Jego katolicyzm jest doprawdy bardzo propagandowy i nie ma w nim niczego poza czystym oportunizmem. Tak jak wierność Kościołowi prezydenta Komorowskiego nie jest większa od jego wierności własnej karierze. W pełni popieram działalność „Solidarności” i uważam, że robi to, co jest w stanie zrobić w trudnej sytuacji, w jaką ją wpędzono. A jest bardzo trudno, ponieważ liberalny rząd usiłuje „Solidarność” zniszczyć i stosuje wszystkie metody, żeby do tego doprowadzić.

Dziękuję za rozmowę. □

Polka Deli

*The Best Polish Deli
in Orange County California*

Polish Traditional Deli Products

Sausage, meat cuts, pierogi

Stuffed cabbage

Polish bread and cakes

Imported from Poland

Candies, cookies and chocolate

Great Polish beer,

wine and spirits

Newspapers and magazines,

Cosmetics

1710 Tustin Ave - Orange, CA

Tel/Fax (714) 974-8276

Mon to Fri - 10 - 6, Sat 10 - 4

Prof. Ryba - Kapitacja ze str. 18

jest po prostu swoistym kuriozum. Gdy dodamy do tego sprzeciw Niemiec co do budowy gazoportu w Świnoujściu, nasze wiernopoddaństwo w Unii jest po prostu samobójcze.

W takim klimacie doszło do innego głośnego wydarzenia dotyczącego naszej polityki zagranicznej. Minister Radosław Sikorski zaprosił ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa, by wygłosił przemówienie do polskiego korpusu dyplomatycznego zebranego w Warszawie. Jest to rzecz o tyle kuriozalna, iż należałoby oczekiwać, że do polskich ambasadorów przemawiać będzie polski mąż stanu, który ukáže główne kierunki polskiej polityki zagranicznej. Dla naszych dyplomatów byłoby to jasne wskazanie, jak należy działać. Skoro zaproszono Rosjanina, to z pewnością coś chciano naszym dyplomatom, a także światu zakomunikować. Ten komunikat to nic innego, jak nowy kurs polityki polskiej w stosunku do rosyjskiego sąsiada. Ten

nowy kurs nie musiałby niepokoić, pod warunkiem, że wiedzielibyśmy, na czym polega nowe otwarcie, jakie konkretne zyski przyniesie nam „pojednanie” z Rosją. Najbardziej oczekiwane kwestie mogłyby dotyczyć spraw gospodarczych, ale o ile wiemy, nic w tej dziedzinie do tej pory się nie wydarzyło. Mamy jedynie podpisać bardzo niekorzystną dla Polski umowę gazową - i tyle. Zatem nowe otwarcie z Moskwą znowu jest jakby za darmo. Nasi ambasadorowie przyjęli komunikat, że Polska na arenie międzynarodowej nie ma interesów sprzecznych z Rosją. Jest to szczególnie istotne dla byłych republik sowieckich, z którymi chcieliśmy do niedawna budować jakąś przeciwwagę dla dominacji rosyjskiej i niemieckiej w środkowej Europie. Wszystkie te państwa dostały sygnał, że współczesne kierownictwo polskiej nawy państwowej zarzuciło wszelkie plany działania sprzecznego z celami polityki rosyjsko-niemieckiej. Oczywiście za takie zachowanie przywódcy polskiego państwa mogą liczyć na poklepywanie po ramieniu, ale w realnej polityce nie o takie cele powinni walczyć.

Niektórzy obserwatorzy odwołujący się do narodowej tradycji uprawiania polityki mogliby widzieć w nowym kursie polskiej polityki wschodniej nawiązanie do doktryny Romana Dmowskiego z pierwszej połowy XX wieku. Porozumienie z Rosją należało do najważniejszych kanonów narodowej polityki zagranicznej. Jest jednak jedna zasadnicza różnica. Ugoda z Rosją, wedle narodowych demokratów, miała iść w poprzek interesów niemieckich, niejako rozrywać porozumienie niemiecko-rosyjskie, stanowiące od wieków największe zagrożenie dla naszego państwa i Narodu. Dzisiejsi kierownicy polityki polskiej nie pragną jednak porozumienia z Rosją, by szukać różnych alternatyw w celu uwolnienia się od dominacji niemieckiej. Jak widzimy, rządzący Polską porozumiewają się z Rosją, by zamanifestować zgodę i poparcie dla osi Berlin - Moskwa, skrzętnie budowanej przez oba państwa od dobrych kilkunastu lat. Widać namacalnie, że podobieństwo tych działań do wizji prezentowanej przed laty przez Romana Dmowskiego jest całkiem iluzoryczne. Dla narodowców celem była suwerenność, maksymalna niezależność naszej nawy państwowej od dominacji zewnętrznej. Działania polityków obecnej koalicji rządowej idą w kierunku przeciwnym - zgadzają się, a nawet jakby wspierają układ niemiecko-rosyjski na kontynencie, podtrzymują również procesy odbierające państwom członkowskim UE atrybuty suwerenności.

Jest jeszcze inne grono polskich polityków i komentatorów zadowolonych z kapitulankiego sposobu uprawiania polityki zagranicznej przez państwo polskie. Owo zadowolenie ma wynikać z przekonania, że Polska niesprzeciwiająca się i niezagrażająca interesom żadnego z wielkich mocarstw sama nie będzie podlegać zagrożeniom. Takie przekonanie dominowało niegdyś w Rzeczypospolitej za czasów saskich. Zredukowaliśmy armię, pozbyliśmy się ambicji budowania alternatywnej siły w środkowej Europie, uzależniliśmy swoją warstwę przywódczą od pieniędzy idących z Berlina, Moskwy i Wiednia. Ale nie byliśmy bezpieczni, wręcz przeciwnie - polityczna bezmyślność zwieńczona została rozbioremami i ponadstuletnią niewolą. Wydaje się, że powinno to być dla nas dostateczną przestroga i inspiracją do zagrania larum w obliczu kondycji naszej współczesnej polityki zagranicznej.

Autor jest kierownikiem Katedry Historii Systemów Politycznych XIX i XX wieku Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, wykładowcą w WSKSiM, członkiem Kolegium IPN. □